

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**OSTATNIE SŁOWO
ROCAMBOLE'A**

część trzecia



**Tom
21**



Ruda Śląska 2024

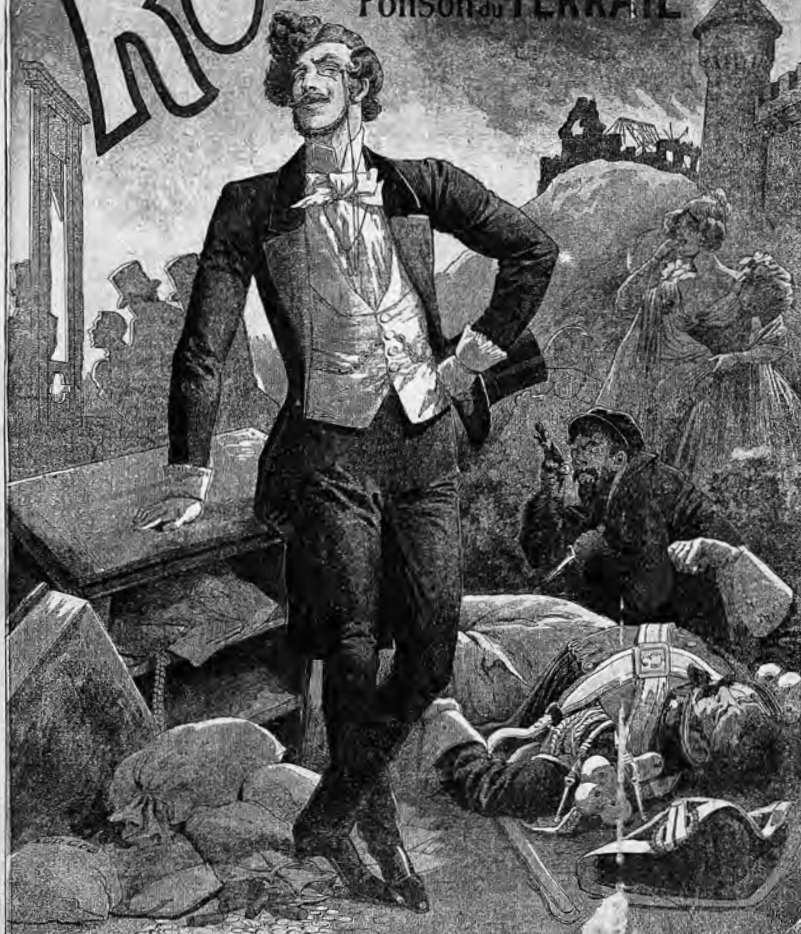
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)

ISBN 978-83-67876-20-9 (tom 21)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Ostatnie słowo Rocambole'a
część trzecia



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

[Kup książkę](#)

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Ostatnie słowo Rocambole'a

część trzecia



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2024

[Kup książkę](#)

*Sto trzydziesta dziewiąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dwudziesty pierwszy tom
kolekcji „Rocambole”*

Tytuł oryginału francuskiego: *Le dernier mot de Rocambole*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2024

29 ilustracji, w tym 27 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-20-9 (tom 21)

Druk i oprawa: Totem.com.pl Sp. z o.o. Sp. Komandytowa
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2024

[Kup książkę](#)

Piękna ogrodniczka



[Kup książkę](#)

Rozdział I



Byla druga nad ranem. Minął rok, godzina za godziną, odkąd pan de Maurevers zniknął, ale wciąż o nim rozmawiano.

– Panowie – rzekł bardzo młody człowiek, przyjęty poprzedniego dnia do *Klubu Zbolałych*, bo właśnie w salonie gier tego interesującego lokalu wyższych sfer toczyła się ta rozmowa – proszę wybaczyć, ale tak mało wiem o historii markiza Gastona de Maurevers, że byłbym bardzo wdzięczny każdemu, kto by mi ją opowiedział.

Wicehrabia de Montgeron odrzekł:

– Jestem twoim patronem, Casimirze, i jako taki jestem ci winien pewne wyjaśnienia. Powinieneś wiedzieć, że Gaston de Maurevers był przystojnym, eleganckim mężczyzną w wieku trzydziestu sześciu lat, z doskonałym wykształceniem, posiadającym rentę w wysokości stu dwudziestu tysięcy funtów. Nie wiadano o żadnym smutku, żadnej miłości i żadnym rozsądnym powodzie, dla którego miałby porzucić życie.

– A jednak popełnił samobójstwo?

– Nie, tego nie wiemy. Pewnego wieczora wyszedł stąd z Charles'em Hounotem, synem bankiera. Udali się piechotą aż do Madeleine¹. Markiz mieszkał w dużej antresoli przy wejściu na ulicę de Surène².

Charles odprowadził go do drzwi i rozstali się, mówiąc sobie „do jutra”.

Dozorca domu powiedział, że dał Maureversowi list, który dotarł tego wieczora. Maurevers przeczytał go z pewną emocją w świetle lampy gazowej palącej się w korytarzu. Następnie, zamiast iść do siebie, ponownie poprosił o otwarcie drzwi, mówiąc:

¹ *Madeleine* – kościół św. Magdaleny (de la Madeleine) w Paryżu, przy placu de la Madeleine w 8. dzielnicy Paryża, budowany w latach 1807-1842, na placu znajduje się obecnie stacja metra Madeleine.

² *Ulica de Surène* – ulica w 8. okręgu Paryża; zaczyna się przy ulicy Boissy-d'Anglas i kończy przy ulicy des Saussaies.

– Wrócę dopiero jutro.

Następnego dnia i w kolejnych Maurevers nie pojawił się. W sprawę zaangażowała się policja, a gazety rozpowszechniły opis młodego markiza de Maurevers na cały świat – wszystko bezskutecznie! Rodzina de Maurevers wysłała agentów na własny koszt do Anglii, Rosji, Stanów Zjednoczonych, wszędzie! Nie znaleziono go ani żywego, ani martwego!

– Jednakże – powiedział jeden z członków klubu – zapominasz o jednej rzeczy, Montgeron.

– O jakiej?

– Policja znalazła woźnicę fiakra, który twierdził, że tej nocy wioził Maureversa.

– To prawda, Maurevers wsiadł do niego za Madeleine, kazał się zawieźć do Auteuil, zatrzymał się na jakąś godzinę w domu przy głównej drodze, po czym wsiadł z powrotem do powozu i wrócił na plac de la Madeleine.

Tak przynajmniej twierdził woźnica. Zawieziony do Auteuil, powiedział, że nie rozpoznaje domu, przed którym się zatrzymał. To było rok temu, moi dobrzy przyjaciele – zakończył Montgeron – i nie sądzę, byśmy kiedykolwiek jeszcze zobaczyli naszego biednego Maureversa.

– Ale ten list, po przeczytaniu którego wyjechał?

– Zwykły list przybyły z Paryża: znaleziono kopertę w przedsiönku z kobiecym pismem, jak dziesięć tysięcy innych.

– Czy Maurevers był zakochany?

– Miał małą Melanię z teatru X..., która kosztowała go dużo pieniędzy i była mu całkowicie obojętna – to sprawa prowadzenia domu.

– I żadnej intrygi na świecie?

– Tego nie wiadomo.

– Ja nie wierzę w samobójstwo – powiedział jeden z graczy.

– Ja też nie – dodał Montgeron – a jeśli chcecie wiedzieć, co myślę...

– Cóż takiego?

– Wierzę w zbrodnię, w tajemnicze porwanie, w jedno z tych spowitych mrokiem wydarzeń, które z dekady na dekadę wprowadzają Paryż w stan osłupienia, wymykają się wszelkim kalkulacjom, wszelkim domysłom – straszliwe zagadki, o których tylko przypadek wyjawia ostatnie słowo kolejnym pokoleniom. Pewnego dnia robotnicy

burzą dom, wali się ściana, znajduje się kryjówka; w tej kryjówce szkielet; a starcy z Paryża przypominają sobie, że czterdzieści lub pięćdziesiąt lat temu zniknął pewien markiz de Maurevers.

– Panowie – powiedział młody człowiek, który wszedł na palcach, gdy Montgeron przemawiał – ta historia jest naprawdę ponura. Od roku każdego wieczora opłakujemy Maureversa i przygotowujemy się na nocne koszmary. Może przejdziemy do weselszego tematu i porozmawiamy o miłostkach naszego przyjaciela Mariona z Piękną Ogrodniczką?

– Ach, a tak przy okazji – rzekł Montgeron – jak mają się sprawy?

– Przepraszam – powiedział młody człowiek, który został przedstawiony dzień wcześniej i któremu pan de Montgeron nadał tytuł chrześniaka i imię Casimir – przepraszam, ale nie jestem na bieżąco...

– Zapoznamy cię – odpowiedział pan de Montgeron. – Gustave Marion jest jednym z naszych najlepszych przyjaciół, *ekstra Zbolałym*. Ma początki astmy, delikatnie pokasłuje, od czasu do czasu łamie coś na irlandzkiej ławce na wyścigach w Vincennes lub La Marche³, wysyła bukiety do wszystkich prostytutek, które gdzieś debiutują i nie ma innego zawodu niż być kochanym, dla siebie lub dla swoich pieniędzy, nie ma to dla niego znaczenia!

– Ale kim jest Piękna Ogrodniczka?

– Powiedział nam tydzień temu; to kobieta, która mieszka w Bellevue, gdzie handluje kwiatami i zatrudnia około dwudziestu ogrodników. Podobno trzeba by było pojechać do Nicei, do Alphonse’a Karra⁴, żeby znaleźć kwiaty tak rzadkie i piękne jak u niej.

– Czy jest ładna?

– Marion twierdzi, że gdyby weszła do Opery w dniu wielkiego przedstawienia, kiedy gromadzą się tam najpiękniejsze kobiety Paryża, ich uroda zbłądłaby w porównaniu z jej.

– A czy on jest kochany?

³ La Marche – tor wyścigów konnych znajdujący się dawniej w parku Château de La Marche, pałacu znajdującego się niedaleko Saint-Cloud pod Paryżem.

⁴ Jean-Baptiste Alphonse Karr (1808-1890) – francuski krytyk, dziennikarz i powieściopisarz, autor autobiograficznych romansów, a także popularnej książki o ogrodnictwie *Podróż wokół mego ogrodu*; w 1855 roku zamieszkał w Nicei, gdzie oddał się swoim upodobaniom do kwiaciarstwa i nadał swoje imię niejednej nowej odmianie, zwłaszcza dali.



– Och, nie... na razie nie... Piękna Ogrodniczka, zawsze ubrana na czarno, nie kocha nikogo; nie ma znanego kochanka ani męża. Jej pracownicy zwracają się do niej z szacunkiem, z jakim zwykli szambelani zwracają się do królowej.

– Skąd pochodzi i jak się nazywa? Tajemnica!

– Marion na próżno wydał już dwadzieścia tysięcy franków, by zdobyć informacje, których nikt nie był w stanie udzielić.

– Spóźnił się pan o dwadzieścia cztery godziny, Montgeron – powiedział przybysz.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Marion zdobył kontakty w okolicy.

– Ba!

– Skorumpował jedyne go służącego śpiącego w domu, bo co wieczór wszyscy ogrodnicy wychodzą.

– I ten służący...?

– Za kilkaset luidorów sprzedał mu klucz do ogrodu i drugi klucz, którym otwiera się przedsionek. Reszta będzie zależała od niego, ponieważ służący twierdzi, że Piękna Ogrodniczka, śpiąca na pierwszym piętrze w pokoju, którego okna są oświetlone przez całą noc, nigdy nikogo nie wpuściła do środka.

– Pięknie! Co więc zamierza zrobić Marion?

– Zatrzymał naszą czwórkę: mnie, barona Koppa, Alfreda Mille-roya i Charles'a Hounota.

– Po co?

– Ależ do licha po to, abyśmy towarzyszyli mu tej nocy do Bellevue, pilnowali domu i w razie potrzeby byli świadkami jego triumfu.

– Ależ, mój drogi przyjacielu – rzekł pan de Montgeron – wszędzie są komisarze policji, nawet w Bellevue.

– To ich sprawa, nie nasza. Nie wejdziemy tam i poczekamy na niego. Jeśli Piękna Ogrodniczka pozwoli się porwać, tym lepiej dla niego, ale jeśli wezwie pomoc... odejdziemy.

– Słowo honoru! – powiedział Montgeron. – Też byłbym chętny.

– Brawo, Montgeron – rzekł jakiś głos na progu – zabiorę cię ze sobą! Wszyscy odwrócili głowy.

Ekstra Zbolały, jak pan de Montgeron nazywał Gustave'a Mario-na, właśnie wchodził do salonu gier.



*Pewnego dnia robotnicy burzą dom, wali się ściana,
znajduje się kryjówka; w tej kryjówce szkielet.*

[Kup książkę](#)

– Więc to nie jest żart? – zapytał młodzieniec o imieniu Casimir.
– Nie ma nic poważniejszego – odpowiedział Marion. – Mój brek⁵ stoi na bulwarze. Mam pięć miejsc do rozdania. Kto mnie kocha, podąża za mną!

– Marion – powiedział ze śmiechem pan de Montgeron – czy powinniśmy zabrać ze sobą broń?

– Jak będziecie chcieli. Ja mam rewolwer w kieszeni.

– Ten Marion – powiedział jeden z członków klubu – nie będzie bohaterem skończonej powieści, dopóki nie zawrze znajomości z policją z domu poprawy.

Pięć wyznaczonych osób wzięło kapelusze i paltoty, opuściło klub i rzeczywiście znalazło na bulwarze wyścigowy brek pana Gustave’a Marion, zaprzężony w dwa wspaniałe irlandzkie kłusaki.

– Wpół do pierwszej! – stwierdził Montgeron.

– Za trzydzieści minut będziemy w Bellevue – powiedział Gustave Marion – i stracę swoje nazwisko, jeśli nie uda nam się namówić Pięknej Ogrodniczki, by zjadła z nami kolację w kawiarni Angielskiej!

Z tymi słowami popędził dwa kłusaki i powóz szybko pomknął po opustoszałych bulwarach.



⁵ Brek (ang. break) – duży, odkryty, czterokołowy, wieloosobowy i wielokonny pojazd z bocznymi ławkami, o prostej skrzyni, używany na polowaniach.



Rozdział II



Gustave Marion miał obok siebie pana de Montgeron; czwórka przyjaciół znajdowała się we wnętrzu powozu; mały groom, umieszczony wysoko na stopniu, musiał pilnować koni.

Noc była zimna i ciemna, mimo że był koniec marca. Wieczorem padał deszcz, wiatr przetaczał gęste chmury, a sceneria była idealna do porwania.

Brek jechał wzdłuż Pól Elizejskich, w dół w kierunku Lasku Bułońskiego, do mostu Saint-Cloud, wzdłuż krawędzi parku, tocząc się hałaśliwie po bruku Sèvres i docierając do Bellevue.

Gustave Marion zatrzymał się, rzucił lejce groomowi i wysiadł.

– Dojechaliśmy? – zapytał Montgeron.

– Jeszcze nie, ale hałas powozu byłby kompromitujący. Pójdziemy tą otoczoną żywopłotem ścieżką; spójrzcie, stąd widać dom u podnóża wzgórza.

– Niewiele widzę – powiedział Montgeron – jest ciemna noc.

– Ja – powiedział Charles Hounot – bardzo wyraźnie widzę kwadratowy budynek ze światłem pośrodku, jak cyklop⁶ otwierający oko.

– To jest ten dom. Wokół niego jest ogród.

– I nie ma żadnych sąsiadów...?

– Żadnych. Najbliższy dom znajduje się ponad pięćset metrów dalej.

Pięciu młodzieńców zostawiło brek i konie na drodze, w rękach grooma, i ruszyło zdecydowanie wydeptaną uliczką, ograniczoną żywopłotem. Ziemia była błotnista i choć szli szybko, nasi poszukiwacze przygód nie robili hałasu. Kwadrans później znaleźli się przed murami ogrodu.

Dom wyglądał jak każda inna willa na obrzeżach Paryża.

Nic dziwnego, nic złowrogiego; Montgeron był tym uderzony i powiedział ze śmiechem:

⁶ *Cyklopi* – w mitologii greckiej olbrzymy o jednym oku pośrodku czoła; zabici przez Apolla strzałami z łuku.

– Można by powiedzieć, że odwiedzasz swego notariusza, mój biedny Marion; jak dotąd wszystko jest bardzo mieszczańskie; nie ma nawet psa stróżującego!

W domu panowała cisza, ale światło na pierwszym piętrze wciąż się paliło.

Gustave Marion wyciągnął z kieszeni klucz, który tyle go kosztował i włożył go do zamka bramy. Brama obróciła się na zawiasach bez dźwięku.

– Jak dotąd – mruknął Montgeron, który pozostał na zewnątrz ze swoimi towarzyszami – nic z *Tajemnicy zamku Udolpho*⁷.

Piękny Zbolały, który myślał o porwaniu kobiety, przeszedł na palcach przez ogród, wyciągnął drugi klucz i użył go z takim samym powodzeniem. Drzwi do holu otworzyły się.

Zapalona świeca pozwoliła Gustave'owi Marionowi zorientować się w sytuacji. Znalazł schody i chwycił się poręczy; następnie wspiął się, tłumiąc odgłos kroków, po pasie dywanu pokrywającym środek stopni.

Gdy dotarł na pierwsze piętro, był prowadzony przez promień światła, więc zgasił świecę. Światło pochodziło z korytarza, na końcu którego znajdowały się szklane drzwi.

– Dobrze! – powiedział do siebie Marion. – To jest sypialnia damy. Ruszył naprzód, zachowując te same środki ostrożności.

Na końcu korytarza rzeczywiście znajdowały się szklane drzwi i młody mężczyzna, stojąc na palcach, przycisnął twarz do jednej z szybek.

Nagle włosy stanęły mu dęba, czoło oblał pot, niewypowiedziany strach chwycił go za gardło i upadł do tyłu, wydając głuchy okrzyk. Po drugiej stronie oszklonych drzwi Gustave Marion zobaczył pokój udrapowany na czarno, przypominający kaplicę grobową. Na katafalku leżał trup, a u jego stóp szlochała kobieta. Kobieta tą była Piękna Ogrodniczka.

Zwłoki, których twarz była tak spokojna, że można by ją wziąć za śpiącego mężczyznę, Gustave Marion rozpoznał od razu... To był markiz Gustave de Maurevers, który zniknął rok temu i był na próżno poszukiwany w czterech stronach świata!



⁷ *Tajemnica zamku Udolpho* – tytuł powieści grozy angielskiej pisarki Ann Radcliffe (1764-1823), prekursorki romantyzmu.



Rozdział III



Gustave Marion nie zemdlał, gdy upadł, ale doznał czegoś w rodzaju częściowego paraliżu, na poły moralnego, na poły fizycznego. Ogar-
nął go taki strach, że włosy stanęły mu dęba, a nogi nie chciały utrzy-
mać ciężaru ciała. Mógłby nawet pozostać w tym stanie przez długi
czas, gdyby szklane drzwi nagle się nie otworzyły, ukazując kobietę,
która przed chwilą płacząc, klęczała u stóp śmiertelnego łoża.

Łzy już nie płynęły, jej wyschnięte oczy lśniły burzliwym świa-
tłem; była blada, a jej drżące nozdrza zdradzały gniew. To wzmogło
strach Mariona, ponieważ jego otepiający paraliż trwał nadal. Ko-
bieta, którą wcześniej tak wyraźnie rozpoznał, nie przypominała
już siebie. To nie była już ta melancholijna, łagodna twarz, nie było
już tych oczu wypełnionych nieokreślonym smutkiem, ani tego ele-
ganckiego, giętkiego ciała z jego zmysłowym rozmarzeniem. Piękna
Ogrodniczka nagle ustąpiła miejsca kobiecie o ognistym, śmiertel-
nym spojrzeniu, która chwyciła leżącego na ziemi młodzieńca i po-
wiedziała do niego krótkim, władczym głosem:

– Wstawaj!

Paraliż ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a Gusta-
ve Marion pod wpływem tego spojrzenia wstał, jakby całe jego ciało
przeszył prąd z ogniwa galwanicznego.

Ona wzięła go za rękę i raczej popchnęła, niż pociągnęła za sobą,
do na czarno udrapowanego pokoju, na którego ścianach świece rzu-
cały złowróżbne błyski.

– Skoro chcesz zobaczyć – powiedziała – podejdź bliżej!

W jej głosie pobrzmiwała dzika ironia.

Pan Gustave Marion, który był, używając określenia pana de Mont-
geron, *pięknym Zbolałym*, dowiódł jednak swojej odwagi.

Przy różnych okazjach otrzymał pół tuzina ciosów szpadą i wywo-
łał wielkie poruszenie w towarzystwie. Ale, ku swojemu wstydowi,

teraz był w uścisku niedającego się nazwać strachu. Stał, ponieważ ta kobieta patrzyła na niego, ale nie miałby siły utrzymać się na nogach, gdyby na chwilę odwróciła głowę. Przyciągnęła go blisko tego katafalku z gromnicami płonącymi w czterech rogach i powiedziała do niego:

– Patrz więc!

Posłuszny tej władczej woli, pod którą uginał się jak trzcina pod naporem wiatru, patrzył z przerażeniem na te zwłoki, które doskonale rozpoznał. Był to rzeczywiście markiz Gaston de Maurevers. Wciąż był ubrany w aksamitne spodnie, obcisłe na kolanach, *końskie spodnie*, jak to mówią. Stopy miał obute w eleganckie buty z lakierowanej skóry. Ale jego wierzchnie okrycie, kamizelka i krawat zniknęły.

Koszula była rozpięta, odsłaniając zakrwawioną klatkę piersiową. Pod jej lewą piersią widniała trójkątna rana, a na ustach widać było kilka kropli zakrzepłej krwi. Czy to była rana kluta? Czy była to rana od szpady? Czy markiz zginął, zabity uczciwie w pojedynku? A może zmarł od ostrza zabójcy?

Gustave Marion, drżąc, zadawał sobie to pytanie. Zadawał sobie nawet inne: Ledwo skurczona twarz, ledwo zastygła krew na brzegach rany, sama pozycja zwłok, wszystko to zdawało się wskazywać, że śmierć nastąpiła zaledwie kilka godzin wcześniej, najwyżej jeden dzień. A przecież od zniknięcia Gastona de Maurevers minął już rok. Przez rok szukała go każda policja na świecie, a jego przerażona rodzina opublikowała jego nazwisko w każdej gazecie. I wszystko to było na próżno. Co się działo z markizem przez cały ten rok, skoro zmarł zaledwie dzień wcześniej? To pytanie, które zadawał sobie oszołomiony umysł Gustave’a Mariona, stanowiło najwyższą komplikację tej przerażającej zagadki.

A przez cały czas, wyniosła, z płonącym wzrokiem, ironicznie wydętymi wargami, Piękna Ogrodniczka mówiła z dzikim akcentem:

– Ależ niech pan patrzy, niech pan patrzy!

Zęby Gustave’a Mariona szczękały z przerażenia. Być może nawet bardziej bał się tej żywej kobiety niż martwego mężczyzny.

Nagle ponownie chwyciła go za rękę.

– Teraz posłuchaj mnie! – powiedziała.



W jej głosie słysząc było metaliczny syk, a jej spojrzenie paliło oczy młodzieńca.

Marion próbował wymamrotać kilka słów, ale jego usta nie rozchyliły się.

Piękna Ogrodniczka kontynuowała:

– Od miesiąca przychodzi pan tu codziennie pod pretekstem kupowania mi kwiatów. Potem, zniechęcony moją oziębłością, przepuścił pan jednego z moich służących i dzięki niemu dostał się pan do tego pokoju. Myślał pan, że jest na najlepszej drodze do roman-su, ale znalazł się pan twarzą w twarz z trupem. Został pan wyleczony?

W jej głosie brzmiała dzika ironia.

A kiedy nie odpowiedział, drżąc pod spojrzeniem, które wstrząsało całym jego ciałem, kontynuowała:

– Jeśli chce pan dożyć sędziwego wieku, złożę mi pan przysięgę.

Spojrzał na nią przerażonym wzrokiem, jakby chciał zapytać o formułę tej przysięgi.

– Przysięgnie mi pan – kontynuowała, kładąc dłoń na zwłokach – że pańskie usta nigdy nie wypowiedzą ani słowa o tym, co pan widział...

Ciągle drżał, a jego usta nadal się nie otworzyły.

– Przysięgnij, panie, przysięgnij! – zawołała.

Jej głos był tak władczy, że w tym momencie Gustave'owi Marionowi wydawało się, że ta kobieta trzyma jego życie w swoich rękach i że wszystko, co musi zrobić, to chcieć, by stał się trupem takim jak ten przed nim.

– Przysięgnij! – powtórzyła po raz trzeci.

Podjął wielki wysiłek, wyciągnął rękę i wyszeptał martwym głosem:

– Przysięgam!

Wtedy, jak w teatralnej bajce, świece nagle zgasły, a pokój pogrążył się w ciemności. Jednocześnie Piękna Ogrodniczka chwyciła go za rękę i powiedziała:

– Chodź!



Posłuszny tej władczej woli, pod którą ugiął się jak trzcina pod naporem wiatru, patrzył z przerażeniem na te zwłoki, które doskonale rozpoznał.

Poczuł, jak wyciąga go z kaplicy, wiedzie przez korytarz i po schodach; potem nagle wypchnęła go z przedsionka, do którego drzwi się zamknęły.

Wyczerpany Gustave Marion padł nieprzytomny w ogrodzie, u podnóża schodów wejściowych.



Rozdział IV



zterdzieści osiem godzin po scenie, którą właśnie opisaliśmy, w *Klubie Zbolałych* panowała wrzawa.

Nie widziano ani Montgerona, ani Gustave'a Mariona, ani czterech innych graczy, którzy towarzyszyli zuchwałemu porywaczowi, chociaż ich koledzy spędzili całą noc w klubie, dwa razy z rzędu.

Młody człowiek o imieniu Casimir, którego pan de Montgeron był przewodnikiem w świecie hulaków, poszedł do domu i nie zastał go. Pan de Montgeron, podobnie jak inni, nie wrócił od dwóch dni.

Zbolali naradzali się.

– Panowie – powiedział jeden z nich – przedstawię wam moje zdanie.

– Słuchamy.

– Nasi poszukiwacze przygód nic nie upolowali.

– Jak to?

– Nigdy nie wierzyłem w odwagę Mariona, a oto, co moim zdaniem musiało się wydarzyć. Piękna Ogrodniczka ma męża...

– Albo kochanka.

– Tak czy inaczej, mąż czy kochanek, ktoś wyrzucił Mariona przez okno.

– To całkiem możliwe – stwierdzili obecni.

– Kochanek wyrzucony przez okno nie zabija się – kontynuował narrator. – Bóg jest litościwy dla kochanków, tak jak dla pijaków, ale on ma siniaki, podbite oko albo coś sobie złamał. To właśnie musiało się przydarzyć Marionowi i został przewieziony do pobliskiej gospody.

– Ale co z pozostałymi...?

– Poczekajcie! Bellevue to kraina ogrodników, warzywników i właścicieli pralni; dobrzy ludzie, którzy nienawidzą paryżan. Nasi przyjaciele zostali źle potraktowani i wstydząc się ich niemilej przygody, nie mają odwagi pokazać się.

– Nie masz racji, mój dobry przyjacielu – powiedział jakiś głos z progu sali gier.

Wszyscy się odwrócili.

– Montgeron! – rozległ się ogólny okrzyk.

– Panowie – powiedział wicehrabia – niczego sobie nie złamałem, podobnie jak nasi przyjaciele. Mieszkańcy Bellevue nie są tak dzicy, jak myślicie.

– A Marion?

– Marion oszalał.

– Oszalał z miłości?

– Nie, jest obłąkany... całkowicie obłąkany...

Pan de Montgeron wypowiedział te słowa ze smutną powagą, która wywarła niesamowite wrażenie.

– Panowie – kontynuował – możecie przestać się śmiać, bo to, co wam opowiem, nie jest przyjemną przygodą.

Montgeron usiadł i otarł czoło jak człowiek, który przeżył emocje, które nie do końca były jak różana woda.

– Ależ mów w końcu, co się stało?

– Czy Piękna Ogrodniczka istnieje, albo czy Marion był już szalony?

– Nie wiem – odparł Montgeron – ale oto co się wydarzyło.

Wicehrabia opowiedział o tym, co już wiemy: o podróży z Paryża do Bellevue, drogą cesarską, a potem wydeptaną uliczką, i o bardzo mieszczańskim sposobie, w jaki Gustave Marion wszedł najpierw do ogrodu, a potem do domu.

– Wpatrzni w okno, w którym świeciło się światło, czekaliśmy – powiedział – paląc i siedząc w pewnej odległości od bramy na brzegu rowu, gdy po pół godzinie światło nagle zgasło.

„Dobrze! – szepnął jeden z nas. – Jest szczęśliwy!”

Czekaliśmy kolejne pół godziny, potem godzinę. Światło już się nie zapaliło, a my nie słyszeliśmy żadnego hałasu.

„Do licha! – zawołałem. – Myślę, że Marion kpi sobie z nas. Jeśli ta kobieta jest taka łatwa, jeśli nawet się nie broni ani nie krzyczy, to Marion jest szczęśliwszy, niż mu się to wcześniej wydawało. Więc możemy mu życzyć wszystkiego dobrego i odejść...”

Wstałem i ruszyłem w stronę uchylonej bramy, zdecydowany zadzwonić do drzwi i dać tej pani znać, że nasz przyjaciel jest wścibski.



Noc była dość jasna i kiedy zbliżałem się do domu szeroką piaszczystą alejką ogrodową, zobaczyłem coś nieruchomo leżącego na ziemi. Zrobiłem kolejny krok i zatrzymałem się, mocno poruszony. Tym czymś było ciało Mariona.

Przez chwilę myślałem, że nie żyje, a moje emocje były tak wielkie, że krzyknąłem. Na ten krzyk przybiegli nasi przyjaciele.

Marion był nieprzytomny. Jego ciało nie nosiło śladów obrażeń ani stłuczeń. Co mogło spowodować jego omdlenie? Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy nie zapukać do zamkniętych drzwi i nie wyważyć ich, jeśli to byłoby konieczne. Na szczęście z pomocą przyszła nam rozważa.

Zanim pomyśleliśmy o pomszczeniu Mariona, musieliśmy sami dowiedzieć się, co mu się stało. Poza tym on był winny, a my sami, wchodząc w nocy do zamieszkałego domu, mogliśmy znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji.

Wzięliśmy więc Mariona na ramiona i wynieśliśmy go z ogrodu. Tam próbowaliśmy wszystkiego, by go ocucić. Na nic się to zdało; gdyby nie słabe bicie jego serca, można by przysiąc, że nie żyje.

Byliśmy w odludnym miejscu; zbliżał się dzień i mogliśmy zostać zaskoczeni przez ogrodników, którzy wstają wcześniej rano. Trudno byłoby wyjaśnić naszą obecność w tym miejscu. Zabraliśmy więc Mariona do breku.

Nie odzyskał przytomności i od Bellevue do Saint-Cloud był nieruchomy jak trup.

W Saint-Cloud zatrzymaliśmy się w hotelu „Pod Głową Murzynka”.

Rozebraliśmy go, położyliśmy do łóżka i posłaliśmy po lekarza.

Po godzinie nacierania i po tym, jak podano mu kordiały⁸ i sole do wdychania, Marion otworzył oczy. Ale wtedy wszystkich nas ogarnęło prawdziwe przerażenie. Marion miał błędne spojrzenie, nie poznawał nas. Jego zęby szczękały z przerażenia i owładnęło nim żarliwe majaczenie.

To delirium go nie opuszczało; płakał i śmiał się na przemian. Potem, minuta po minucie, wykrzykiwał:

– Nie idźcie tam! Nie idźcie!

⁸ *Kordiał* – napitek, zwykle alkoholowy (koniak, nalewka) uważany za lek wzmacniający, zwłaszcza serce, jak wskazuje nazwa (z łac. *cordialis* – serdeczny).

Wczoraj wieczorem miał godzinę spokoju; wszyscy byliśmy przy jego łóżku.

Rozpoznał nas.

Wziąłem go za rękę i próbowałem go wypytać.

– Nie idźcie tam! Nie idźcie! – powiedział nam z akcentem szalonego przerażenia.

– Co ci się przydarzyło? – zapytałem.

– Przysięgałem! – odpowiedział i znów zaczął majaczyć.

Lekarz, z którym się konsultowaliśmy, powiedział nam, że obawia się o jego zdrowie psychiczne.

– Ach! – powiedział jeden ze *Zbolałych*, przerywając panu de Montgeron. – Przypuszczam, że jeden czy drugi poszłście do komisarza policji.

– Po co mielibyśmy to robić?

– Żeby opowiedzieć mu tę historię.

Montgeron wzruszył ramionami.

– Mój przyjacielu – rzekł – kiedy podejmujesz się takiej wyprawy, nie chwalisz się tym.

– Marion musiał doświadczyć jakiejś straszliwej mistyfikacji.

– Tak właśnie myślę.

– I wypadałoby to wiedzieć.

– Och! – odparł Montgeron. – Mam swój pomysł.

– Ach!

– Słuchajcie – dodał wicehrabia – jestem tak przekonany, że Marion padł ofiarą zasadzki, że sam złożyłem przysięgę.

– Jaką?

– Taką, że za wszelką cenę wejdę do domu Pięknej Ogrodniczki, dobrowolnie lub nie.

– Sam?

– Nie, z jednym z was, jeśli któryś zechce pójść za mną.

– Do licha! Pójdziemy wszyscy...

– Nie – odrzekł pan de Montgeron – tylko jeden.

– Ja! Ja! – zawołali wszyscy *Zbolali*.

– Więc ciągnijcie losy, ja biorę ze sobą tylko jednego.

Dwadzieścia nazwisk wrzucono do kapelusza, a najmłodszy w klubie, ten o imieniu Casimir, włożył do niego rękę.



Pierwszym nazwiskiem, które podał, było jego własne.

- Czy jesteś odważny? - zapytał Montgeron.
- Och, tak! - odrzekł, rumieniąc się.
- A więc - powiedział chłodno pan de Montgeron - ruszajmy. Wyjeżdżamy dziś wieczorem.
- O której godzinie?
- Właśnie teraz; mój powóz jest na dole.

Następnie zwrócił się do pozostałych młodych ludzi:

- Panowie - powiedział - żądam od was przysięgi.
- Mów, Montgeron.
- Takiej, że nic z tej mrocznej sprawy nie wyjdzie na zewnątrz, dopóki mnie znów nie zobaczycie.

Wszyscy dali słowo.

- Chodź, Casimir - rzekł pan de Montgeron i obaj opuścili klub.



Rozdział V



Pan de Montgeron widział w wyprawie z poprzedniego dnia, kiedy wyszedł z klubu, tylko jedną z tych pospolitych przygód odnośnie paryskiej miłości, tak śmieszną dla tego, kto ją podejmuje, jak i dla tych, którzy są jej świadkami.

Paryż już dawno przestał być krainą drabin sznurowych, hiszpańskich romanc i serenad; wojownik zdejmuje mundur, by wejść do domów tych damulek, a poeci uciekają się nie do swoich gitar, lecz do ładnych plików papieru podpisanych *Garat* i *Soleil*.

Pan de Montgeron towarzyszył Gustave'owi Marionowi z czystej ciekawości, gdy Piękna Ogrodniczka miała zostać porwana, w przekonaniu, że wyprawa zakończy się kolacją w kawiarni Angielskiej, gdzie nieśmiała piękność będzie czynić honory bez udawanej skromności. Sprawy potoczyły się jednak inaczej.

Pan de Montgeron poczuł, jak budzi się w nim rodzaj cierpkiej ciekawości, paląca potrzeba poznania więcej. Kim była ta kobieta? I co takiego Gustave Marion widział w jej domu, że nagle postradał zmysły? Pan de Montgeron poprzysiągł zgłębić tę tajemnicę.

Podczas kilku godzin spędzonych w Saint-Cloud w restauracji „Pod Głową Murzynka” zauważył, że czterej młodzi mężczyźni, którzy towarzyszyli Gustave'owi Marionowi, byli pod tak wielkim wrażeniem przygody, że nie mógł na nich polegać.

Tak więc nie powiedział ani słowa o swoich planach kiedy ich opuszczał pod pretekstem, że ma pilną sprawę do załatwienia tego samego wieczora w Paryżu.

Los, wyznaczając w klubie Casimira de Noireterre na jego towarzysza, wydawał mu się być bardzo mądry.

Casimir de Noireterre był dwudziestoletnim młodzieńcem, nie mniej odważnym niż jego kuzyn przez pokrewieństwo, pan de Montgeron. Od dwóch lat służył jako aspirant w marynarce, kiedy znaczny spadek zastał go w Rio de Janeiro, gdzie cumował jego statek.

Casimir zrobił to samo, co Montgeron. Zrezygnował ze stanowiska i przybył do Paryża, by wieść życie na wysokim poziomie.

Montgeron, kuzyn jego szwagierki – miał starszego brata, dobrego szlachcica mieszkającego na swoich ziemiach w Périgord – Montgeron uczynił się jego opiekunem i wszędzie go wprowadzał.

Tacy oto byli ci dwaj mężczyźni, którzy próbowali przeniknąć tajemnicę, jaka zdawała się otaczać Piękną Ogrodniczkę.

Noce następują po sobie w Paryżu, tak jak wszędzie indziej, ale nie są do siebie podobne. Poprzednia noc i poprzedni dzień były jasne i pogodne. Tego wieczora Paryż pokryła gęsta, żółta mgła, uwalniając niezauważalny deszcz, który przeniknął aż do kości.

Pan de Montgeron miał swoje coupé przed drzwiami klubu na bulwarze.

Kazał Casimirowi wsiąść i powiedział do niego:

– Jestem człowiekiem przezornym. Masz, trzymaj...

Następnie włożył mu do ręki ładny korsykański sztylet w niebieskiej aksamitnej pochwie, obszytej cyzelowanym srebrem, dodając:

– Pistolety i rewolwery są bronią komediową i nadają się co najwyżej do aresztowania; to jest lepsze.

Woźnica bez wątpienia wcześniej otrzymał rozkazy, ponieważ po-pędził kłusaka, który ruszył żwawo.

Zamiast wspinać się na Pola Elizejskie i przejeżdżać przez Lasek Buloński, coupé podążało brzegiem wody i torami kolei amerykańskiej aż do mostu w Sèvres. Niecałe trzy kwadranse później zatrzymało się w miejscu, w którym Gustave Marion dzień wcześniej zostawił swój brek.

Podczas podróży Montgeron i Casimir de Noireterre zamienili le-dwie kilka słów.

Kiedy jednak, zostawiając coupé, weszli pieszo na wyjeżdżoną uliczkę, Casimir powiedział do Montgerona:

– Jak się tam dostaniemy?

– Zachowałem klucz do bramy.

– A klucz do domu?

– Również. Marion zapłacił tyle, żeby można było z nich korzystać...

Gdy szli, dotarli do nich odległy dźwięk dzwonu. To zegar w ma-nufakturze w Sèvres wybijał północ.



Po kwadransie, mimo że noc była ciemna, pan de Montgeron wyciągnął rękę i powiedział:

– Tam jest dom.

Światło wciąż świeciło na pierwszym piętrze. Tak jak poprzedniego dnia, okolica była cicha. Nie słychać było nawet szczekania psa stróżującego.

Pan de Montgeron wyciągnął z kieszeni dwa klucze i otworzył bramę.

– Teraz idź za mną – rzekł do Casimira de Noireterre – i z Bogiem!

Od bramy do domu, który był, prawdę mówiąc, jedynie czworobocznym pawilonem, było sto kroków. Prowadziła do niego aleja drzew.

Montgeron i Casimir zaczęli iść ostrożnie, aby piasek nie zgrzytał pod ich stopami. Podczas drogi Montgeron zatrzymał się dwa razy, by nasłuchiwać. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas. Ale gdy już miał wyruszyć po raz drugi, myśląc, że się pomylił, nagle pojawił się przed nim czarny kształt.

– Uwaga! – szepnął Montgeron i sięgnął po sztylet.

Casimir de Noireterre poszedł w jego ślady. Czarny kształt ruszył naprzód i wkrótce Montgeron, który czekał na niego nieustraszenie, ujrzał wyraźną sylwetkę mężczyzny:

– Kto tam? – zapytał ten człowiek.

Montgeron nie odpowiedział.

Mężczyzna posuwał się naprzód, a gdy był już bardzo blisko, powtórzył:

– Kim jesteście i czego chcecie?

Nagle Montgeron wyciągnął rękę i chwycił go za gardło.

– Kim jesteście i czego chcecie? – zapytał nieznajomy.

– Jeśli krzykniesz, będziesz martwy – powiedział wicehrabia i przycisnął czubek sztyletu do piersi nieznajomego.

Ten wydawał się być ogarnięty wielkim przerażeniem.

– Nie zabijajcie mnie – wyjąkał. – Jeśli jesteście złodziejami, to źle trafiliście...

– Kim jesteś?

– Biednym służącym.

Montgeron uznał za zabawne odgrywanie na serio roli złodzieja.



- Są służący, którzy mają oszczędności – zauważył.
 - Ja nie mam żadnych, przysięgam...
- Ale pełen emocji głos tego człowieka świadczył o tym, że kłamał. W umyśle pana de Montgerona pojawiło się pewne wspomnienie.
- Zapewne masz sto luidorów – powiedział – które dał ci pan Gustave Marion.
 - Wie pan o tym? – wyjąknął służący.
 - A dowodem jest to, że właśnie użyłem klucza, który mu sprzedałeś, aby się tu dostać.
- Nagle postawa mężczyzny zmieniła się, a jego strach zdawał się ustępować:
- Przepraszam – powiedział – wziąłem pana za złodzieja.
 - Ach, tak! – Montgeron roześmiał się.
 - Ale widzę, że pan... – rzekł sługa i skłonił się.
 - Domyślasz, po co przyszliśmy?
 - Mniej więcej...
 - Dobrze! – rzekł Montgeron. – Zatem zastanów się i to szybko.
 - Czego pan sobie życzy?
 - Dam ci wybór: dzgnięcie sztyletem albo kolejne sto luidorów.
 - Pan żartuje, bo przecież pan wie, że nie ma wyboru.
 - Więc wybierasz sto luidorów.
 - Och, oczywiście!
 - Mów zatem.
 - Co pan chciałby wiedzieć?
- Montgeron wyciągnął rękę w stronę oświetlonego okna.
- Co tam jest u góry?
 - Panie – odparł służący – jestem ojcem rodziny, mam troje dzieci, dbam o swoją skórę. Sprzedałem klucz panu Marionowi, który jest młodym wariatem; ale widzę, że pan jest innym człowiekiem... i...
 - No i co? – zapytał zimno de Montgeron.
 - Pan wydaje mi się być rozsądnym człowiekiem.
 - Zgoda, i co dalej?
 - I jeśli dam pan dobrą radę.
 - Czekam na nią, mów...



– Pan dobrze zrobi, jeśli wróci do domu: noc jest zimna, a opadająca mgła źle wpływa na przeziębienie mózgu.

– Zabawne! – rzekł Montgeron. – Nie mam czasu żartować z tobą o deszczu i pięknej pogodzie. Jeśli nie udzielisz mi informacji, których potrzebuję, zabiję cię!

Mówiąc to, ponownie przyłożył sztylet do gardła sługi.



Rozdział VI



Groźba była poważna. Służący zrozumiał, a raczej zdawał się rozumieć, że pan de Montgeron jest gotów go zabić, jeśli nie odpowie krótko i jasno na jego pytania.

– Niech mnie pan przepyta – powiedział – a powiem panu to, co chce wiedzieć.

– Czyj to dom?

– Pani.

– Kim jest ta pani?

– Nikt tutaj nie zna jej nazwiska. W Bellevue nazywają ją tylko Piękną Ogrodniczką.

– Jak długo tu przebywa?

– Od dwóch lat.

– Skąd przybyła?

– Nie wiem.

W głosie mężczyzny słysząc było taki akcent szczerości, że Montgeron nie wątpił. Potem ponownie wskazał na światło i zapytał:

– Czy to jej pokój?

– Tak sędzę.

– Jak to?! Tak sądzisz?

– Panie – odparł służący – nigdy nie byłem na pierwszym piętrze, ani ja, ani żaden z wielu pracowników, których pani zatrudnia w ciągu dnia. Mogę tylko powiedzieć, że pan Charles Mercier oszalał.

– Kim jest pan Charles Mercier?

– To młody człowiek z Paryża, który zakochał się w pani.

– Dobrze! I co dalej?

– Pewnej nocy wspiął się na mury ogrodu i przystawił drabinę do domu. Wspiął się do okna, które widzicie oświetlone...

– I spadł na wznak?

– Nie, ale zszedł na dół z najeżonymi włosami, błądy, z oczami wychodzącymi z orbit. Od tamtej pory zwariował.

– Ale co się stało tam na górze?

– Nie wiem, ale pan zrobi lepiej, gdy sobie pójdzie.
– Absolutnie nie – stwierdził Montgeron.
– Pan zamierza wejść do domu?
– Tak. A ty zostaniesz tutaj, albo jeśli na nieszczęście pójdziesz za mną...

– Och, nie ma takiego niebezpieczeństwa.
– Jeśli znajdę cię w tym miejscu, dostaniesz swoje sto luidorów...
– Będę tu – powiedział sługa i usiadł na ławce opartej o drzewo.
Podczas całej tej rozmowy Casimir de Noireterre milczał. Przez chwilę Montgeron pomyślał, by zostawić służącego pod jego strażą i samemu wejść do domu. Ale Casimir rzekł:

– Nie, nie, nie opuszczę cię.
– Zatem chodź – polecił Montgeron i wyposażony w drugi klucz, skierował się ku schodom wejściowym.

Drzwi otworzyły się po włożeniu klucza równie łatwo, jak wcześniej przed Gustave'em Marionem.

Montgeron i Casimir de Noireterre weszli do przedsionka, który pogrążony był w ciemności. Gdy znaleźli się w środku, Montgeron wyciągnął z kieszeni szcztura piwnicznego i pudełko świec. Zapalił go i zamknął drzwi.

Drzwi miały od wewnątrz rygiel, który Montgeron zasunął, mówiąc:
– To powinno zapobiec jakiegokolwiek zdradzie ze strony sługi.

Casimir również trzymał sztylet w dłoni. Schody znajdowały się, jak wiadomo, na końcu przedsionka.

– Chodźmy – powiedział Montgeron i ruszył przed siebie.

Na pierwszym piętrze znalazł korytarz, którym szedł Gustave Marion. Tak jak wcześniej, na jego końcu widać było blask światła. Montgeron zbliżył się i rozpoznał szklane drzwi.

Jednak dwaj nocni awanturnicy nie zadbali o to, by ukryć odgłos swoich kroków.

Montgeron, kiedy dotarł do szklanych drzwi, wspiął się na palce i podobnie jak Marion, nie mógł powstrzymać odruchu przerażenia. Wydał z siebie nawet okrzyk, jednak nie przewrócił się.

Komnata żałoby była w takim samym stanie. Zwłoki markiza Gastona de Maurevers leżały na katafalku, twarzą do drzwi. Tylko Pięknej Ogrodniczki nie było w pokoju.

Podobnie jak Gustave Marion, pan de Montgeron rozpoznał w zwłokach zaginionego markiza.



Casimir de Noireterre również podszedł bliżej i chociaż nigdy nie poznał pana de Maurevers, nie mógł powstrzymać okrzyku przerażenia na widok zwłok.

Pan de Montgeron ścisnął go za ramię i powiedział:

– Milcz!

Kilka minut zajęło młodzieńcowi otrząśnięcie się z gwałtownych emocji, których właśnie doświadczył.

Ale pan de Montgeron był odważnym człowiekiem i szybko odzyskał spokój.

Piękna Ogrodniczka nie pojawiła się, a w pobliżu zwłok nie było nikogo.

Montgeron nachylił się do ucha Casimira de Noireterre i powiedział:

– Teraz rozumiem, że Marion oszalał. Rozpoznał trupa.

Casimir zadrżał.

– To Maurevers – dodał Montgeron.

Młody człowiek ponownie zadygotał

Montgeron, który wciąż trzymał go za ramię, kontynuował:

– Nie jesteśmy już na tropie tajemnicy, ale na tropie zbrodni i musimy iść do końca.

Szklane drzwi były zamknięte.

Montgeron próbował je otworzyć, ale nie mógł.

– Niech się dzieje, co chce! – powiedział, a patrząc na swojego towarzysza, zapytał: – Czy nadal jesteś gotów iść ze mną?

– Do piekła i z powrotem – odpowiedział Casimir.

Montgeron oparł się o drzwi i silnym uderzeniem ramienia wyważył je. Ale nagle, gdy zrobił krok do przodu, znalazł się w całkowitej ciemności.

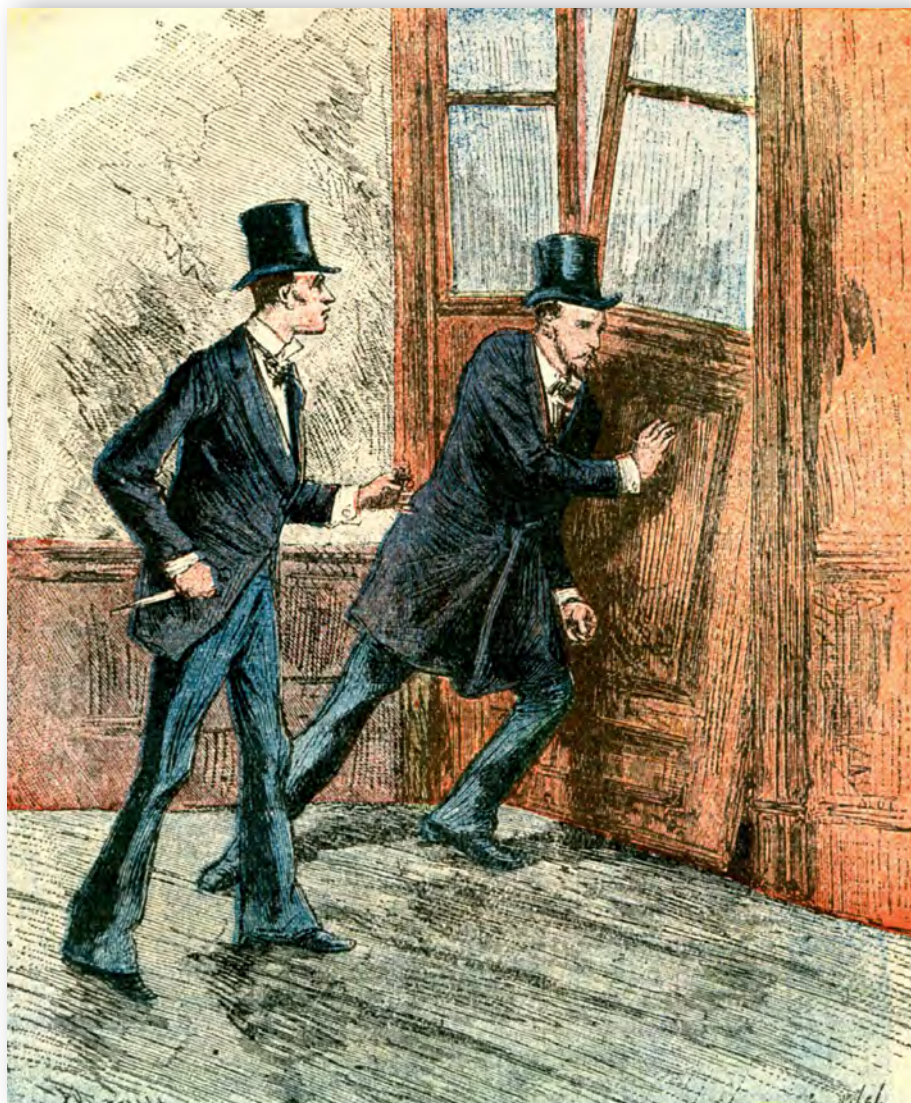
Jakiś tajemniczy oddech zgasił nagle cztery świece płonące w rogach katafalku.

– Za mną! – powtórzył pan de Montgeron.

Jedną ręką chwycił pana de Noireterre za ramię, a drugą, uzbrojoną w sztylet, skierował do przodu. Casimir podążył za nim.

Zrobili dwa kroki w kierunku zwłok, ale nagle pan de Montgeron głośno krzyknął. Podłoga zapadła się pod jego stopami i spadł, ciągnąc za sobą towarzysza, na dno nieznanej otchłani.





Montgeron oparł się o drzwi i silnym uderzeniem ramienia wyważył je.

Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

